№ 27. Wilno, dnia 27 Września 1925 r. Rok I

GWIAZDKA

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

ŚWIĘTO WOLNEJ SZKOŁY POLSKIEJ W WILNIE.

Niezwykłą uroczystość obchodziły średnie szkoły polskie w Wilnie, dnia 22 września 1925 r.

Święto Wolnej Polskiej Szkoły! Dziesięcioletnia rocznica powstania w Wilnie polskich szkół średnich.

Opowiadała wam już Gwiazdka, że w czasach niewoli, gdy ziemia nasza była pod jarzmem rosyjskiem, biedne polskie dzieci, uczyły się swej religji, pacierza, czytania i pisania po polsku, w tajemnicy, w ukryciu. Na strychach, poddaszach i w suterenach, mieściła się taka uboga polska, tajna szkółka. Uczono też w szwalniach, ochronkach i żłobkach.—W takich szkółkach dzieci mogły się nauczyć czytać i pisać po polsku. Najwyżej tyle, co w dwuoddziałowej szkole powszechnej. Kto zaś chciał się dalej uczyć, ten już musiał iść do szkoły rosyjskiej, do gimnazjum rządowego, w którem nie dość, że uczono w języku rosyjskim, ale gdzie nawet przy zabawie, na podwórzu gimnazjalnem nie wolno było odezwać się po polsku, nietylko, do kolegi, ale nawet do brata rodzonego. Za polską mowę, uczeń szedł do kozy, a zdarzały się wypadki, że usuwano go ze szkoły. Od roku 1832, nie mieliśmy w Wilnie i w całej Ziemi Wileńskiej, ani jednego gimnazjum, ani jednej szkoły średniej. W roku 1915, to jest w drugim roku wojny światowej, Niemcy zwyciężyły Rosjan. Wojska carskie musiały w dniu 18-go września opuścić Wilno. Wraz z wojskiem wyjechały

wszystkie władze rządowe rosyjskie, a więc i władze szkolne.

We dwa dni potem, w kościele świętej Katarzyny, przy ulicy Wileńskiej, odbyło się pierwsze, po długich latach, polskie nabożeństwo szkolne.

W tych ciężkich dniach, gdy jeden wróg, Moskal, opuszczał Wilno, a drugi, Prusak, przychodził, ludzie mądrzy, zacni i kochający Polskę, przygotowali wszystko do rozpoczęcia nauki w Wolnej Polskiej Szkole! Była ich niewielka gromadka, bo tylko 40 osób, tych pierwszych założycieli i nauczycieli polskich.

Ale szli z wielką wiarą i przekonaniem, że tak należy robić, że corychlej trzeba zakładać Polską Szkołę.

I stworzyli, bez niczyjej pomocy, bez żadnych niemal środków dwa gimnazja. Męskie im. Zygmunta Augusta i żeńskie im. Elizy Orzeszkowej.

Dnia 22-go września 1915 r. w obu gimnazjach rozpoczęto naukę.

Na czele grona profesorów, którzy w tych gimnazjach uczyli, stali profesor Stanisław Kościałkowski, Julja Rodziewiczowa i Julja Maciejewiczowa.

Niedługo potem powstały w Wilnie jeszcze dwa gimnazja, dzisiejsze im. Lelewela dla chłopców i SS. Nazaretanek. Powstało też kilkanaście szkół powszechnych.

Taką to właśnie dziesięcioletnią rocznicę polskiej szkoły obchodziło Wilno.

Rano o godz. $9^1/_2$ zapełniła się stara katedra wileńska młodzieżą. Przyszły wszystkie szkoły średnie, jakie obecnie są w Wilnie i ustawiły się przed wielkim ołtarzem, każda pod swym sztandarem. Po uroczystem nabożeństwie na placu, przed katedrą odbyła się defilada szkół. Przeszło 4 tys. młodzieży wzięło w niej udział. Potem wszyscy zebrani poszli na Małą Pohulankę do gimnazjum Zygmunta Augusta, gdzie było wielkie zebranie. Przybył Kurator szkolny, dyrektorowie i dyrektorki szkół, inspektorzy szkolni, profesorowie i nauczycielki. Stawili się pierwsi uczniowie *) polskich szkół, nie wszyscy, niestety, bo wielu z nich padło w obronie Wilna i Polski

*) Dziś słuchacze i słuchaczki Uniwersytetu Wileńskiego.

w walkach z bolszewikami, tylko na dużej tablicy, zdobiącej jedną ze ścian sali, jaśnieją ich nazwiska, wyryte złotemi zgłoskami. Byli też i ukochani założyciele i nauczyciele polskiej szkoły. Profesor Stanisław Kościałkowski, pp. J. Rodziewiczowa i J. Maciejewiczowa, prezes P. Macierzy Szkolnej dr. Węsławski i wiele, wiele osób.

Zagrała szkolna orkiestra, a chór młodzieży odśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła". Potem zaczęły się przemówienia. Mówił profesor Kościałkowski o tem, jak powstała szkoła polska. Profesor Cywiński skreślił historję prześladowań młodzieży polskiej za czasów rosyjskich. Prezes P. Macierzy mówił jak ciężkie czasy przebywała pierwsza szkoła polska podczas najazdu niemieckiego. Nie było książek i podręczników polskich. Nie można ich było sprowadzać z Warszawy. Trzeba było tu w Wilnie pisać i drukować książki do nauki dla dzieci. W mieście był straszny głód, dzieci przychodziły do szkół zziębnięte i głodne. Nauczycielstwo również cierpiało straszne braki, głodem nieraz przymierało, lekcje szły jednak zawsze regularnie i porządnie. I Niemcy prześladowali szkoły polskie, kilkanaście nauczycielek uwięziono i zamknięto w więzieniu za naukę polskiego języka.

Słuchając tych wszystkich opowiadań, ludzie mieli łzy w oczach a radość w duszy, że oto wolni, w wolnym kraju, w wolnej szkole jesteśmy. I za to wielkie szczęście głęboko wdzięczni być powinniśmy Bogu i tym, którzy dla zdobycia tej wolności pracowali.

Uroczystość zakończył chór odśpiewaniem „Roty".

„Gwiazdka".



J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

Stali tak na brzegu, a u stóp ich szaro-zielone morze kipiało wrzawą i ruchem. Rybacy wracali z połowu, wybiegały na ich spotkanie kobiety i dzieci. Mężczyźni wyciągali czarne kutry na jasny piasek wybrzeża i podnosząc sieci napełnione rybą, zaraz na wybrzeżu dzielili się swym bogatym połowem. Chłopcy podbiegli również do dużej łodzi, ciekawi ryb morskich.

— O patrzcie, zawołał Antek, przecież to takie same ryby jak i nasze rzeczne. Co tu sandaczy, szczupaków i okoni.

— Ale są i śledzie! wołała Tosia, wskazując na trzepiocząca się w sieci rybę, a w tej że chwili figlarnie spojrzała na Antka, pytając.

— Czy to woda morska słona z powodu żyjących w morzu śledzi, czy też śledzie słone są dla tego, że żyją w słonej wodzie?

Wszyscy w śmiech.

— Stary kawał, odciął się Antek a za stary już wróbel, by się na to dał złapać.

A rybak wydobywający ryby z sieci, spojrzał życzliwie na młodą gromadkę i rzekł:

— Zaś oni są z Polski? Ja tyż jestem polski. Cała nasza wieś, to som Polaki-Kaszuby.—Znajomość była zrobioną, radowano się wzajemnie. Rybak pokazał młodzieży jeszcze inne ryby morskie, flondry „stornie" jak je nazywają Kaszubi, gdyż pływają one płasko, czyli „na stronie".

Rybacy rozdzielili ryby, zabrali je i poszli do domów, a Antek, Stef i Tosia zawrócili do miejsca, gdzie zostawili siedzących na ławeczce p. Roińską z bratem.

Opowiedzieli im o poznanych przed chwilą rybakach.

— Wiem, że tu ludność jest przeważnie polska, rzekł Stef, ale muszę się przyznać, że nie wiem dlaczego zwą się Kaszubami, nie zaś Pomorzanami. Wszakże tu jest Pomorze?

— Masz słuszność, odrzekł p. Borski, ale tak jak są

w Polsce: Mazury, Kujawiacy i inni, stanowiący jednolity naród polski, tak samo i Pomorzanie, dzielą się na Pomorzan i Kaszubów, mieszkających na lewym brzegu Wisły. Skąd powstała nazwa Kaszubów, nie umiem wam dokładnie powiedzieć. W dawnych kronikach polskich czytałem, że ongi przed laty, ludność tu mieszkająca, nosiła długie i szerokie ubrania. Z konieczności, przy chodzeniu i robocie musiano je podkasywać. Że zaś „Huba" w staropolskim języku, oznacza fałda, więc z wyrazów zakasz i huby miał powstać wyraz Kaszuby i stał się nazwą ludności i ziemi przez nią zamieszkałej.

— Mowa Kaszubska jest jednak odmienna od polskiej, rzekł Antek.

— Uczeni twierdzą, odpowiedziała pani Roińska, że tu właśnie poczęła się pierwsza mowa polska, i że ten lud przechował ją, podczas gdy w innych częściach kraju, pod wpływem nauki, wydoskonaliła się ona i z gwary pierwotnej utworzył się piękny i bogaty język polski.

— W Bocianiej Górze, zawołała Tosia, posłyszycie wiele staropolskich wyrazów, ja już sporo słów Kaszubskich umiem, a zanim stąd wyjadę. to będę mówiła jak prawdziwa Kaszubka.

— Oho, jakaś ty pewna swych zdolności, zawołał Stef.

— Naturalnie, bo to wcale nie trudna mowa, widzieliście przecie sami jak rybacy nas zrozumieli, a i wy rozumieliście ich również. *d. c. n.*



Łodzie i siecie kaszubskie, suszące się na wybrzeżu morskiem.

MARJA REUTTÓWNA.

Historja małej wiewiórki.

(Ciąg dalszy).

— A czyż nie możemy zimować w tych gniazdach, które mamy? — zapytała Rudka. — Tak w nich miło i ciepło.

— Zwłaszcza gdy słońce grzeje — odrzekła matka — bo w czasie tych słot już nieraz tuliłaś się do mnie, a cóżby było w mrozy? Pierwsza to będzie wasza zima i ani przypuszczacie, jak zimno jest u nas. Bialutko dokoła, tylko jodły i sosny zielenią się w lesie, a z innych drzew liście opadną zupełnie.

— A cóż jeść będziemy? — pytał Rudzik.

— Z biedy mogłybyśmy znaleźć pożywienie i w zimie — odpowiedziała stara — na sosnach i jodłach wiszą szyszki z nasionkami, z pod śniegu można wygrzebać żołędzie, lub bukiew, są też i jagody. Ale biegać po śniegu i mrozie niezbyt to miła rzecz, o wiele więc lepiej zrobić sobie zapas żywności i złożyć ją we własnym spichrzu.

— A gdzież będzie teraz mieszkanie nasze? pytała wiewióreczka, skacząc obok matki po gałęziach Czy znowu w gnieździe wroniem?

— E, nie, odrzekła matka, wronie i srocze gniazda dobre są tylko na wiosnę i lato, chociaż mamy ciepłe futerka i w jesieni sporo tłuszczu na sobie, jednak zamarzłybyśmy w naszem gniazdku. Na zimę trzeba się starać o cieplejsze.

— Już wiem gdzie będziemy mieszkać, zawołał Rudzik, w tej starej dziupli, ot tam w dębie. I nie czekając odpowiedzi, skoczył ze szczytu jodły, na duży rosochaty dąb.

— Że też ten urwis, odrazu wszystko odgadnie, mruknęła stara, przeskakując również z jednego dębu na drugi. Rzadko spotkać tak zdolne dziecko.

A Rudzik już siedział w dużej dziupli dębowej.

— Doskonale tu schować się można, wołał, tylko bieda, że nie tak miękko i przytulnie, jak tam u nas. Drzewo twarde, wszędzie jakieś sęki.

— Ho, ho, rozśmiała się matka, pieczone gołąbki nie idą do gąbki, i tamto gniazdo nie było tak wygodne, gdyśmy je z panem ojcem waszym znalezli. Napracowaliśmy się niemało. Wrony to o żadnem budownictwie pojęcia nie mają. A wiewiórkę zwą zwierzęta i ludzie budowniczym. Trzeba było dorabiać z gałązek ściany, żeby gniazdo było obszerne i pomieścić mogło całą rodzinę i dach. Ileż to my naścinaliśmy gałązek, jak je trzeba było znosić, zwijać. A potem wysłać gniazdo suchemi liśćmi, by deszcz nie przemoczył. Miękkim mchem, by było i ciepło i zacisznie. Przecie jak widzieliście mamy zasłonkę z mchu i gałązek do zakrywania otworu w czasie słoty. Wszystko to własna nasza robota. Gniazdo wronie służyło nam za podłogę.

Tak rozmawiając, stara wiewiórka nie próżnowała. Tu odpiłowała ostremi ząbkami jakiś wystający z boku sęczek, tam pazurkami oderwała niepotrzebną korę, to znowu wygładziła ściany dziupła. Rudzik pomagał matce, tylko Rudka huśtała się na gałązkach i coraz o coś pytała, wsuwając swój zgrabny łebek do otworu.

— A co się stanie z naszem starem gniazdkiem? zapytała, czy nigdy tam nie wrócimy?

— Przeciwnie, odpowiedziała matka, wrócimy tam wiosną, ale tylko my dwoje, wasz ojciec i ja. Wy będziecie myśleli o sobie sami.

— Sami? powtórzyła Rudka smutnym głosem, nie przyjmiesz mnie mateczko do gniazdka?

— Patrzcie, jaka wygodna, rozśmiał się Rudzik, ona by zawsze chciała przyjść do gotowego. Ot i teraz, my pracujemy, a ta sobie fiut, fiut, na gałązce się buja.

— Słusznie mówi Rudzik, rzekła matka, mogłabyś trochę dopomóc.

— Matusiu, ja skoczę na orzeszki, zawołała mała próżniaczka, widząc, że ją nie na żarty wezmą do pracy. Wy budujcie gniazdko, a ja zbiorę dużo orzechów na zimę. Nie czekając odpowiedzi, skoczyła w stronę kędy rosły leszczyny

. . . .

Leśną drożyną szedł Piotruś do szkoły. Niezbyt mu pilno było. Wolałby zostać w domu, bawić się z pięcio-

letniemi dziećmi, wyprawiać różne psoty i starym i małym, ludziom i zwierzętom niż siedzieć w szkole tyle godzin. Piotruś uczyć się nie lubił, nie lubił żadnej pracy i gdyby go matka z domu nie wyprawiała do szkoły, a ojciec nieraz i paskiem nie wypędzał, to pewno ani pomyślałby o nauce. I teraz szedł niechętnie, wolno, oglądając się na różne strony, przystawał czasem, ziewał, szukał jagód. Nie śpieszno mu było.

Stanął pod sosną, zadarł głowę do góry i przyglądał się drzewu jakby je po raz pierwszy ujrzał.

A w tem bęc i szyszka padła mu na nos. Zabolało go, chwycił się za nos, i patrzy skąd ona spadła. Urwis Piotruś, oczy miał bystre i dojrzał zaraz na gałęzi siedzącą z zadartym do góry ogonkiem, pannę Rudkę. Nic sobie nie robiąc z chłopca, trzymała w przednich łapkach drugą szyszkę i wydziobywała z niej nasiona.



— A tuś mi! krzyknął, wyciągając ręce Piotruś i nie długo myśląc rzucił plecak z książkami na ziemię i dalej że na sosnę. Łaził jak kot i za chwilę już był wysoko wśród gałęzi.

Rudka w pierwszej chwili zupełnie spokojnie siedziała, ale widząc, że ten duży potwór, jak go w myśli nazwała, pierwszy bowiem raz widziała człowieka, zbliża się do niej, skoczyła w nogi. Nie pobiegła jednak daleko, okrążyła tylko sosnę i myk do dziupła. Skręciła się tam w kłębek i cichutko siedziała, pewną będąc, że on jej schroniska nie dojrzy. W tem stała się rzecz straszliwa. Coś czarnego zakryło otwór w drzewie.

Dok. nastąpi.